

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

6

Było dla mnie więcej, niż jasnym, że ta rzeka złota nie wpłynęła do jednej kieszeni Stanga, szofera. Wprawdzie byłem na śladzie, ale tylko na śladzie śladu i sprawa ta przybierała rozmiary, jakich nawet nie przewidywałem.

Podziękowawszy uprzejmie panu Withworthowi za wszystkie informacje i wskazówki, pożegnałem się z nim i udałem się do biura policyi.

Rozdział VII.

— Czy zastałem pana naczelnego inspektora? — zapytałem drzemiącego na krześle policyanta.

— Pan naczelnny inspektor zajęty, proszę pana.

— Sprawa jest bardzo pilna... proszę mu podać mój bilet wizytowy.

Policyant ziewnął, przetarł oczy, wziął mój bilet i znikł za drzwiami. Po chwili wrócił i oznajmił mruklawie:

— Pan nadinspektor jest zajęty.

— Długo będzie trwało jego zajęcie?

— Nie wiem tego.

— Ale to sprawa bardzo nagła — nalegałem.

Tym razem policyant nawet mi nie odpowiedział. Zrozumiałem z jego miny, że nadinspektor na widok mego biletu musiał dać folę mało pochlebnym dla mnie uwagom, a teraz podwładny jego, sądząc, że jestem osobistością bez znaczenia, pozwał sobie traktować mnie odpowiednio. Po trzech kwadransach oczekiwania jednakże, wpuszczono mnie do biura pana Coxcomb, dyrektora policyi w Melbourne. Był to człowiek już niemłody, o inteligentnym wyrazie, ale dotknięty dziwnym nerwowym skurczem twarzy. Nadawało mu to wyraz pogardliwy, przyczem fałdował mu się policzek do tego stopnia, że chwilami wąż dotykał prawego ucha.

Wymieniłem mu nazwisko moje i zawód, ale przerwał mi przy pierwszych słowach.

— To wystarczy — rzekł — jakie wiadomości przynosi mi pan?

— Zajmowałem się sprawą w Green Park i...

Nadinspektor nieznacznie wzruszył ramionami.

— Mamy już swoje zdanie o tej sprawie, mój panie... i mam powody przypuszczać, że śledztwo zostanie umorzone... Nie było tam ani morderstwa ani kradzieży...

— Przepraszam! — przerwałem energicznie.

Urzędnik nie pozwolił mi dokończyć.

— Tak, ja wiem... pan należysz do prywatnej policyi, panie Dickson, a gdybyśmy wierzyli wszystkim raportom policyi prywatnej, musielibyśmy z połowę ludności miasta Melbourne zaaresztować.

— Wybacz pan — nalegałem — ale ja nie podzielam zdania pańskiego, o ile dotyczy sprawy w Green-Park...

— Bardzo mnie to martwi, łaskawy panie, ale my już co do tego mamy ustaloną opinię...

— A jeśli tam jednak spełniono zbrodnię?

— To pańskie przypuszczenie tylko.

— Ja nie przypuszczam, ja twierdzę.

I popędliwie ręką uderzyłem w stół, przy którym siedział.

— Mam tu raporty władz odnośnych — odpowiedział, patrząc na mnie z ironią; — pozwoli pan, że wezmę je pod uwagę.

I nadinspektor wstał, chcąc mnie pożegnać; ja jednakże nie tak łatwo daję się odprawić.

— Musi mnie pan wysłuchać — rzekłem stanowczo — tak jest, wysłucha mnie pan na mocy prawa, które przysługuje każdemu obywatelowi do składania świadectwa przed urzędnikiem... Jeżeli ja panu mówię: „pan Hugon Chancer został zamordowany“ — to dla tego, że mogę dać panu dowód na to, co twierdzę.

— Gdzież ten dowód, mój panie?

— Mam go tu, w kieszeni.

Tym razem urzędnik usiadł, a skurcz tak mu twarz wykrzywił, że koniec węża stanowczo sięgnął poza ucho. Czułem, że wciąż jeszcze wrogo jest usposobiony, ale zaimponował mu wreszcie mój ton.

— Słucham pana — rzekł.

— Bailey — zacząłem moje sprawozdanie — naczelnny inspektor z Broad West, który pierwszy na miejscu przeprowadził oględziny, nie znalazł w mieszkaniu pana Hugona Chancera śladów włama-

nia, a w szufladce jego sekretarzyka znalazł sumę stu ośmdziesięciu trzech funtów...

— Tak, w istocie, brzmi raport.

— Nie przeczę temu... ale i ja także zbadałem miejscowość... i odkryłem owszem ślady włamania i to w obecności mieszkańca Broad West, pana Gilberta Crawforda, który o tem zaświadczyć może pod przysięgą.

— Dobrze. I cóż dalej?

— Co do sumy stu ośmdziesięciu trzech funtów, to ta nie istnieje...

— Jakżeż to? Przecież ją widziano, o ile mi wiadomo...

— Tak, ale ona niema żadnej wartości...

— Nie rozumiem pana...

— To bardzo proste.

I dobywszy z kieszeni cztery sztuki złota, które pokazywałem panu Withworthowi, położyłem je na stole, mówiąc:

— To są fałszywe monety, panie nadinspektorze!

Urzędnik wziął do ręki monety, obmacał je i rzucił je o marmurowy przycisk, leżący na biurku.

— W istocie, te suwereny sfalszowane... ale panie Dickson, jaki pan stąd wyciąga wniosek?

— Że cała suma, znaleziona w sekretarzyku pana Hugona Chancera, składa się z fałszywej monety, gdyż te oto cztery sztuki wziąłem stamtąd na los trafia. Otóż to dowodzi, że albo pan Chancer stale używał fałszywej monety, co chyba jest nieprawdopodobnem, albo że złoczyńca, który sobie przywłaszczył walory nieboszczyka, zręcznie zastąpił je fałszywymi pieniędzmi, dla odwrócenia podejrzeń. Jak pan widzi, Bailey, pomimo swego wężu, dał się najzupełniej wziąć na ten gruby podstęp.

Urzędnik rozsiadł się lepiej w swoim fotelu.

— Niech pan mówi dalej — rzekł — ja nigdy się nie bronię przed wysłuchaniem prawdy... ja z obowiązku powinienem wysłuchać wszystkiego.

— Co więcej — ciągnąłem dalej — postarałem się o adres zastępcy prawnego pana Hugona Chancera, dzięki kopercie, znalezionej u zmarłego, a której także policya nie zauważyła. Tym zaufanym jest p. Withworth, mieszkający tu przy Fitzroy Street 18. Od niego dowiedziałem się, że p. Chancer posiadał różne akcje i obligacje, łącznej wartości czterech tysięcy funtów, które trzymał u siebie w domu. A ponieważ tych papierów nie znaleziono, oczywiście jest, że ukradziono je, a na ich miejsce podsunęto ową sumkę w fałszywej monecie.

— Czy ten pan Withworth posiada spis i numery owych papierów?

— On nas obu wyprzedził; nim się u niego stawiłem, zdażył już porobić co do nich zastrzeżenia we wszystkich bankach światowych.

— Jeżeli tak, to nie omieszkamy przychwycić złodzieja. Taki nie będzie miał nic pilniejszego, jak starać się pozbyć papiery i zamienić je na złoto.

— I ja na to liczę.

Urzędnik życzliwie teraz popatrzył na mnie.

— Podoba mi się pański sposób rozumowania, panie Dickson. To pewna, że możesz pan być bardzo pożytecznym pomocnikiem policyi...

Złożyłem ukłon nie bez ironii. Naczelnny inspektor zamyślił się przez chwilę, a potem szybko zaczął wertować w książce o szarej okładce.

— O, patrz pan — rzekł nagle — oto już wniesiono skargę ze strony Banku Australskiego...

Nastawiłem uszu.

— Tak... chodzi tu o papier wartościowy, będący pod zastrzeżeniem, a który jakaś osoba nieznana chciała spieniężyć u okienka w tymże banku.

— Czy mają rysopis nieznajomego?

— Ach! bardzo niedokładny!...

Nadinspektor zamyślił się znowu.

— Należałoby stwierdzić, czy to czasem nie stoi w związku z tą sprawą... Czy pan posiada wykaz numerów skradzionych papierów?

— Mam go, i owszem...

Porównawszy cyfry w moim notatniku i numer akcji, obłożonej zastrzeżeniem, a ofiarowanej na sprzedaż, doszliśmy bez zwłoki czasu, że była to istotnie jedna z tych, które posiadał pan Chancer. Zacierałem ręce, nadinspektor zaś dumiał.

— Tak, tak, bezwątpienia — rzekł po chwili — tu pomyłki być nie może... Trzeba odszukać tego nieznajomego... ale na nieść się już trochę za późno... Bank tu uchybił... powinien był przytrzymać sprzedającego zakwestyonowany papier... A zresztą mógł uciec, nim zawiadomiono policyę... Bądź co bądź, nie traćmy nadziei... on pewnie na tem nie poprzestanie i będzie się starał innym sposobem przehandlować gdzieś ten papier... To pan, panie Dickson, powinien śledzić tę osobistość i schwycić ją na gorącym uczynku.

Skinąłem głową na znak zgody.

— Może panu będą potrzebne numery skradzionych akcji?

— Chciałem pana o to właśnie prosić, panie Dickson.

Położyłem znów notatnik mój na stole, a podczas gdy nadinspektor pisał, dodałem jeszcze:

— Co do mnie, zakładam jeszcze osobiście zastrzeżenie co do wszystkich suwerenów, naznaczonych wyrzyciem sześcioramiennej gwiazdki na szyi królowej. Wszystkie monety w posiadaniu pana Chancera były w ten sposób ostemplowane... Nie wiem, dla czego to robił, ale ta jego nieszkodliwa mania powinna nam oddać wielką przysługę...

— Zanotuję to sobie, panie Dickson; może to nam dopomóż w naszych poszukiwaniach.

Oddał mi notes i wstał.

— Jeszcze ostatnie słowo — rzekłem. — Mam poważne powody do przypuszczenia, że przy spełnianiu zbrodni w Green-Park nie jeden człowiek działał, ale cała banda złoczyńców. W tego rodzaju stowarzyszeniach — jak w każdej organizacji — są wykonawcy i rozkazujący, ręce i głowa... Niech pan każe pilnować, panie nainspektorze, w gospodach nocnych, restauracjach, domach gry i klubach. Namietność gry wydała więcej szalbierzy, fałszerzy i morderców, niż najsprytniejsi w świecie agenci.

Nadinspektor zaczął się uśmiechać.

— Tajnych agentów w cywilnym przebraniu pomieszcza się wszędzie — obiecał.

Poczem z hałasem odsunął fotel. Tym razem znaczyło to, że mnie żegna. Ukłoniłem się i wyszedłem.

Z planu mego wyjąłem to tylko, co mi się wydało koniecznem w celu pozyskania pomocy władz urzędowych. A teraz szybko pobiegłem na pocztę.

Rozdział VIII.

Ajencja Pinkerton w Nowym Jorku jest niewątpliwie najpotężniejszą organizacją poszukiwawczą na całym świecie. Zresztą jest ona ogólnie znana. Wystarczy, gdy powiem, że bracia Pinkerton robią wielką konkurencyę policyi starego i owego świata i że w ciągu jednego dnia wydają w ręce sprawiedliwości więcej zbrodniarzy, niż wszystkie policye razem wzięte w ciągu miesiąca. Ajencja ta ma swoje oddziały we wszystkich krajach świata; niema miasta ani biura handlowego, gdzieby nie utrzymywała jednego albo kilku swoich agentów. Wszyscy złodzieje, oszuści, szantażyści i zbrodniarze, meldowani są w centralnej firmie w Nowym Jorku, gdzie się odnośnie do nich notatki chowa, klasyfikuje porządnie i seryami układa, podług kategorii przestępstw, jakim się oddają. W tem leży siła ajencji Pinkerton.

Zawodowi rabusie cudzego mienia (złodzieje, włamywacze i złodzieje kieszonek) stanowią np. jedną seryę, fałszerze drugą, specjaliści od rozbijania kas żelaznych trzecią, złodzieje papierów wartościowych czwartą i podobnie szalbierze, podpalacze, mordercy, fałszerze monety i różni inni. Przewidziano u braci Pinkerton tyle kategorii, ile jest sposobów krzywdzenia bliźniego z pogwałceniem prawa.

Łatwo więc uzyskać przy pomocy tej ajencji nie tylko dane o zbrodniarzu, ale i wykaz prawdopodobnych współników. Wszyscy detektywi znają firmę Pinkerton w Nowym Jorku i tam się też zwracają, gdy tylko mają wskazówkę jakąś do dania. Usługi, które ona im oddaje, są nieocenione.

Z tym to potężnym pomocnikiem postanowiłem skomunikować się przy pomocy kabla. Zredagowałem długą depeszę cyfrowanem pismem, podług przyjętego przez wielką ajencję klucza i wymienilem numery i rodzaj papierów, ukradzionych panu Hugonowi Chancer. Podałem również dokładny rysopis Stanga i poleciłem poszukiwać w kierunku służących, złodziei; następnie, wysławszy depeszę, udałem się do Australskiego Banku. Dyrektor, którego znałem, otrzymawszy mój bilet, kazał mnie natychmiast prosić.

— Pan zapewne przychodzi — zaczął odrazu — w kwestyi tego doniesienia, które wniesliśmy do policyi?

— Tak jest, szanowny panie.

— Otóż było tak, w dwóch słowach: jakaś osobistość, nie będąca bynajmniej naszym klientem stawiła się u okienka, ażeby spieniężyć obligację Newcastle Mining Comp., obligację, obłożoną zastrzeżeniem. Ja sam zaniósłem skargę. Bardzo żałuję, że dowiedziałem się zapóźno, gdy tamten już się oddalił, gdyż byłbym go kazał odrazu zatrzymać. Nasz młody współpracownik, niedoświadczony jeszcze, nie dość szybko zorientował się w sytuacji i pozwolił łotrowi ujsć, niestety.